

Rozmawiałam z Kazimierzem Sprawiedliwym

Każdy z nas miał przecież swego „Globusa”, „Katonę” albo właśnie „Kazimierza Sprawiedliwego”... Wszyscy oni — i ci łagodnie uśmiechnięci i ci wymagający a surowi, i nawet ci do których jedynie „pieszczotliwy” przydomek „piła” pasował jak ulał — utkwili głęboko w naszej pamięci, więcej nawet — w wyobraźni. Żadnego chyba z ludzi nie pamięta się tak długo i tak dokładnie jak tych, których spotykaliśmy codziennie za katedrą na lekcjach łaciny lub historii. Kto wie — może nawet łatwiej zapomnieć czyjeś uwielbiane ongiś błękitne oczy niż śmieszne pumpy w kratkę, albo ulubione powiedzonko nauczyciela...

Może już dzisiaj sam nosisz śmieszne, niemodne spodnie, może na spacerach nie rozstajesz się z laską, a przy czytaniu z okularami. A przecież — przypomnij sobie! — nauczyciela swego widzisz jak żywego jakby dopiero przed chwilą wlepił ci dwójce! Pamiętasz? Ile to trzeba było sprytu, spostrzegawczości, pomysłowości — żeby poznać jego słabości, ile wprawy, by móc je wykorzystać w obronie własnej, zagrożonej najbliższą wywiadówką, skóry. Obserwowało się tego belfra ze wszystkich stron, chętnie by się go pod mikroskop na chemii wsadziło — byleby go tylko „rozgrzyć”, byle się nie dać zaskoczyć. Klasa ten wielogłowy i wielooki stwór, śledził swego „przeciwnika” zza katedry, nie dając mu chwili od poczynku.

A za katedrą siedział On. Sam jeden, naprzeciw nas. Niekiedy bywał młody, poruszał się energicznie a głos miał donośny; niekiedy twarz miał naznaczoną zmarszczkami i oczy przygasłe. Siedział i patrzył na klasę. Ileż to trzeba było z jego strony cierpliwości, znajomości psychiki, ile pomysłowości i doświadczenia — aby poznać każdego z nas.

Głos ma miękki, spokojny, ruchy powolne lecz sprężyste, opanowane. Jest wysoki, szczupły, co chwilę zakłada okulary w jasnej oprawce. Ci dwaj młodzi chłopcy, którzy przed chwilą weszli do kancelarii, nazywają go „Paragrafem”. A może to oni byli autorami wiersza, nadającego mu miano „Kazimierza Sprawiedliwego”?

Dwadzieścia siedem lat siedzi już za katedrą, dwadzieścia siedem razy zegnał maturzystów, dwadzieścia siedem razy witał nowicjuszy, niepewnie rozglądających się po klasach nowej „budy”. Jego wychowankowie na pewno nie zmieszaliby się w obszernej kancelarii. Czy pamięta ich wszystkich? No... wszystkich, to chyba nie. On był zawsze jeden — ich dziesiątki. Ale pamięta niektórych „asów” — od książki i od kawałów. Pamięta taką sławę, której bała się cała szkoła z gronem nauczycielskim włącznie. To był trudny uczeń, szatan nie chłopa, i w ogóle „zakąsa klasowego roku”. Nauczyciel dodał mu jeszcze jedno miano: „przewodniczącego klasy” i ono zaćmiło niesławną sławę tamtych. Taka nominacja mogła podzielać tylko na chłopca ambitnego. Ale nauczyciel rozgryzł przeciwnika. Pomógł mu wrodzona znajomość psychiki ludzkiej.

Mówią, że do każdego zawodu trzeba się urodzić. Jeśli chce się być dobrym nauczycielem — trzeba się urodzić do kilku zawodów. Pedagoga — to raz. Psychologa — to

dwadzieścia trzy — to... Posłuchajcie.

„Moja córka pakuje teczkę do szkoły — opowiada jedna z mam — podaje jej śniadanie. To za grube — mówi — my wszyscy nosimy teraz tecki takie, jak „Paragraf”. Równiutkie i płaskie”.

On nigdy na swoją teczkę nie patrzył. Nie wiedział czy jest płaska, czy wypchana. Ale jego uczniowie wiedzieli.

Tak, zza katedry obserwują go bacznie oczy. Oczy, które widzą każdą najmniejszą nieodpowiedzialność w sposobie ubrania, zachowania, wyrażania się. Tak obserwuje się aktora na scenie. Trzeba wiedzieć kiedy trzymać tego widza — słuchacza w napięciu, a kiedy pozwolić mu na odprężenie, na uśmiech. Trzeba wiedzieć i o tym, że każda klasa inaczej reaguje na te same sposoby postępowania. I choć od 27 lat powtarza na lekcjach historii te same prawdy o słabościach króla Stasia i waleczności Batorego — za każdym razem powtarza je inaczej dopasowując swój sposób mówienia do ósmo czy jedenastoklasistów. Jeśli zaś klasa klasie nie równa — cóż powiedzieć o kilku-

dziesięciu jej uczniach? Do iluż to różnych typów i temperamentów nauczyciel musi dostosować swoje metody pracy? A własne nastroje? Trudno przecież być zawsze spokojnym, opanowanym i doświadczone, kiedy do głowy ciśnie się myśl o własnych, przytłaczających zmartwieniach.

Ma także jeden kłopot z sobą samym. Chciałby zdobyć nie tylko szacunek i respekt lecz także... cieplejsze uczucia swoich wychowanków. A to jest najtrudniejsze. Ten, który kształtuje i doskonali cudze charaktery, z własnym — może nieco nadmiernie surowym — nie zawsze potrafi sobie poradzić. To pewnie ta świadomość własnej niedoskonałości każe mu uśmiechać się pobłażliwie gdy słyszy: „te, uważaj, Paragraf idzie”. Że jednak zamiast „Paragraf” usłyszy czasem o sobie „ten to ci jest Kazimierz Sprawiedliwy” — trochę się surowy sąd o sobie samym łagodzi i mięknie.

Ciekawe — czy nigdy nie miał ochoty czmychnąć z tej swojej katedry-sceny? Czy nie dogryzała mu ta ciągła „walka” z rozkrzyczanym i płochym przeciwnikiem? A no, urodził się widać do tych wszystkich trzech zawodów, bo mu z nimi dobrze. I choć nauczycielem musi być przez całe 24 godziny każdego dnia, a księgowym — jak za okupacji — tylko osiem, nie ma wcale ochoty na „zawieszenie broni”. Co nie przeszkadza mu — bez cienia wstydu — mówić iż „najprzyjemniejszym momentem w roku szkolnym jest... ostatni dzień nauki i pierwszy wakacji”.

„Paragrafa” vel „Kazimierza Sprawiedliwego” znają do brzo w Chodzieży, (zwłaszcza ci, którzy po wojnie stali do niego do Rzeszowa listy wypełnione prośbami o powrót) jako zastępcę dyrektora miejscowego liceum — pana Zygmunta Orlowskiego, nauczyciela historii i geografii, radnego, przewodniczącego Państwowej Komisji Kultury, przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej, prezesa Powiatowego Zarządu TWP i członka prezydium oddziału ZNP. Uff... Pytacie, kiedy on to wszystko robi? Ponoć mieści się doskonale w czasie od 5 rano do 12 — wieczór.

I nawet na grzyby chodzi.

Wanda CHILA

Józef Baranowski



Z popiołów wspomnień dziś się budzą
Lata już dawno pogrzebane —
Widzę tablicę, rzędy ławek
I twarze dzieci roześmianych.

Skrzypiało pióro, gdy oporne
Rozwiązać przyszło mi zadanie
I harcowałam po liniijkach
Niesforne liczby zamazane.

Pamiętam — nagły lęk przed dzwonkiem
— za oknem drzewa w szronie siwym —
I groźną panią od rachunków
O sercu czułym i łęklwym.

Cierpliwą głos nauczyciela,
Nim z pierwszych liter pierwsze słowa
Zdołałem związać, żeby wiersze
Dźwięczały piękną, polską mową.

Lekcję historii, która w domu
Wypadła starym już zwyczajem:
Bo pan był chory... A pod ławką
„Old Surehand” — Karola Maya.

O, gdybym mógł dziś, pełen dumy
Szkołnym pochwalić się zadaniem,
Rumieniąc się — przeprosić panią
za ściągę i podpowiadanie!

„I słyszę dzwonka głos i szelest
Liści nad drogą mego życia.
Przyspieszam kroku jakby na mnie
Czekał przed szkołą — nauczyciel...”



Na szlaku podróży, w małej wiosce opolskiej.

3500 kilometrów wzdłuż POGRANICZA

Droga wznosi się lekko i tuż za ostatnimi zabudowaniami wioski wbiega na mostek. Przechodzący tędy ludzie w zasmolonych kombinizonach, przedstawiają przepustkę Wopiscie takim gestem, jakim inni pokazują bilet miesięczny. Za chwilę są w Czechosłowacji. To polscy robotnicy, którzy pracują w pobliskim Boguminie.

W okolicy Chałupek w powiecie raciborskim bierze początek przygraniczne Ziem Zachodnich. Stąd rozpoczęliśmy naszą podróż, by zakończyć ją w Żytkiejmach na granicy polsko-radzieckiej. Trasa wyprawy prowadziła kolejno przez województwa: opolskie, wrocławskie, zielonogórskie, szczecińskie, koszalińskie, gdańskie, olsztyńskie i częściowo białostockie. Najpierw jechaliśmy wzdłuż Podosudcia. Później były płaskie, podobne do Wielkopolski tereny nad Nysą i Odry. Z kolei cały pas Wybrzeża, Mierzeja Wiślana i wreszcie Pojezierze aż do północnego rejonu Mazur.

Odwiedziliśmy przeszło 20 miast powiatowych i około 50 wiosek, miasteczek i osiedli. Ludzie z którymi spotykaliśmy się mówili twardą śląską gwarą, zaciągali z lwowska lub używali charakterystycznych wyrażeń, po których mogliśmy od razu poznać poznaniaków.

Dziś chcemy się podzielić wrażeniami z tej wyprawy. W okresie mody na zagraniczne wojaże dobrze jest czasem uświadomić sobie, co dzieje się we własnym kraju.

OFICEROWIE LUBIA CIEPŁO!

Na tej strażnicy co dzień od maja 1950 roku podczas apelu niezmiennie padają słowa: „Starszy strzelec Tadeusz Wróbel”. I słychać mocny głos strażnicy: „Polegli na polu chwały”.

Żołnierze wzywają na wieczór ny apel swego kolegę, który przyszedł tu z lubelskiej wsi i pozostał w chaszczech, obok biało-czerwonego słupa, przybity do ziemi bandyckim strzałem.

Okna zalane deszczem. Na strażnicy zimno. Mówimy: „na dworze stoi wartownik”. Porucznik WOP-u odpowiada bez



cienia przechwiałki: „Tak trzeba!”

W tym „tak trzeba” kryje się często niezrozumiały dla cywila sens żołnierskiego życia.

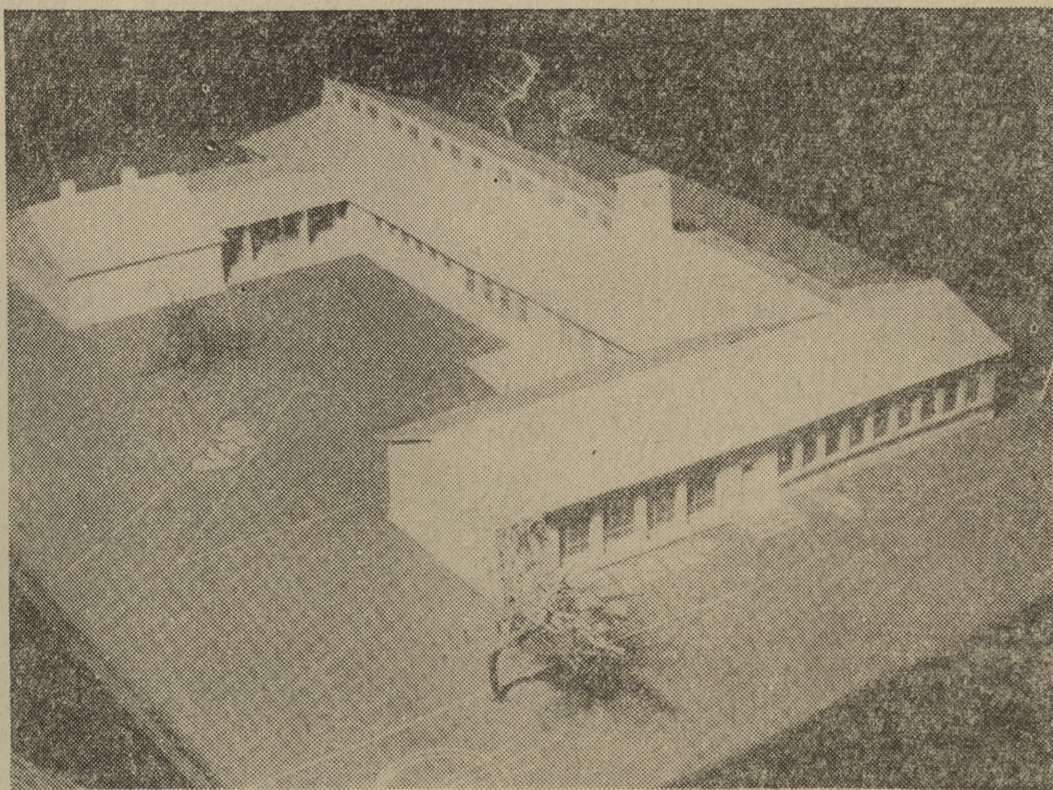
U porucznika dostrzegamy rys nader interesujący: jest nie tylko żołnierzem o uważnym spojrzeniu wartownika, lecz również obywatelem nadgranicznego miasteczka, pilnie śledzącym jego życie. Opowiada z ożywieniem o hucie szkła, fabryce lamp. Organizuje drużynę harcerską, zaprzyjaźnił się bowiem z młodzieżą i często gości ją na strażnicy.

A oto jeszcze jeden przyjaciel. Pies. Wielki, silny. Którejś nocy wraz ze swym czworonożnym sojusznikiem porucznik ścigał przestępcę 17 km. w głąb niemieckiego terytorium. Tam go dopiero ujął. Mimochoodem dodaje, że był śmiertelnie zmęczony tą pogonią i że przestępca miał broń.

Porucznik jest żonaty. Żona musi przyzwyczaić się do tego, że strażnica jest jego drugim domem, że na alarm nocny trzeba często biec pod ostrzałem bandyckiej broni. Tak trzeba!

Pewna reporterka, która od wiedziała kiedyś strażnicę usłyszała od porucznika, że nawet officer WOP-u musi się w końcu ożenić, i że ci ludzie, ze względu chyba na charakter swej trudnej i niebezpiecznej służby — szczególnie cenią sobie wartość domowego ogniska. Reporterka w audycji stwierdziła w sposób nieskomplikowany, że oficerowie

(Ciąg dalszy na str. 2 i 3)



Tysiąc nowych szkół dla uczczenia Tysiąclecia Polski — to najpiękniejsza forma obchodu tej rocznicy. Oto makieta-projekt wiejskiej szkoły.



Rynek raciborski. Przez tę bramę przejeżdżał kiedyś podobno Sobieski...

(Ciąg dalszy ze str. 1)

WOP-u zenią się ponieważ lu bia ciepło w domu!

A wydawałoby się, że tak nie trudno ich zrozumieć...

KUSTOSZ

Jedziemy do „dziadka” na grywać na taśmę dźwięk grającego zegara. Kustosz czeka już przy wejściu do muzeum, w cieniu arkad. Otwiera drzwi i szerokim gestem zaprasza do wnętrza. Sklepienia są wysokie, dużo przestrzeni, schody dudnią. Zapala lampę zawieszoną na półpiętrze. Lampę jak miniaturkę ulicznej latarni. Dzwonią klucze. Odgłosy jak w klasztorach krużgankach. Tuż pod dachem stajemy przed wąskimi drzwiami. Kustosz wprowadza nas i śmieje się jakby z dobrego kawału. W pokoiku zgromadzone bezładnie, bez porządku, drzewa stare stroje śląskich mieszczanek, rzeźby, gobeliny i zegary. Pachnie tu kłiwie jak w zakrystii, lub dawno niewietrzonej teatralnej rekwizytorni. Zegar stary, XIX-wieczny, trzeba popychać płytę pozytywki. Melodia rzewna, liryczna, ożywia stare, złoczone, haftem kolorowym przybrane stroje. Zgromadził kustosz już dobrych parę tysięcy eksponatów. Z miast, z wiosek, które przemierza na rowerze ściga do wywalczonych przez siebie muzeum pamiątki historii. Prześlecy tu niejedną noc, ale nie żeby sam na sam gadać z historią, lecz żeby ją zmusić do rozmowy z ludźmi. Niech zbliży się do nich kiedy tu przyjdą. A zegary, gdy ludzie zaczną im zaglądać do wnętrza, niech wydzwonią cza sy kiedy kamiennogórcy tkaczę zbierali się do buntu i ponieśli go dalej, na Dzierżonów, potem na Europę...

Muzeum w Kamiennej Górze przechodził remont. Też ciężko wywalczony, wykłócony. Kustosz Stanisław Sabak promienieje. Pokazuje jasne sale, jakby to po swoim nowym czystym domu oprowadzał. Po 23 latach pracy nauczycielskiej odnalazł swoją drugą pa sję. Zegnany się pozostawiając mu w ręku kartkę: „życzymy dużo, dużo radości i sukcesów”.

Bowiem Stanisław Sabak nie styży. Świat dźwięków przestał dla niego istnieć po kontuzji, jaką odniósł w warszawskim powstaniu.

„NIEMASZCHLEBA”

Wysoki mężczyzna, bary potężne. Kiedy rozmawiając z nami usiadł za stołem i rozłożył łokcie — niemal brzegów sięgały. Watowana kurka przydawała mu jeszcze masywność.

Po kampanii wrześniowej za pędzili go tu Niemcy w 1940 r. Pracował na roli, w młynie niemieckiego gospodarza, gdzie się dało. Pracował z Rosjanami, Francuzami, Serbami. Kiedy fala wyzwoleńczej ofensywy dotarła do Odry i zagarnęła małą wieś Lindenheim, zwaną kiedyś Niemaszchleba

poszedł z wojskiem na Berlin. Potem wrócił. Był tu pierwszym. Wziął gospodarstwo i rozpoczął gospodarkę na swoim. W 1945 roku i dwóch następnych latach wybierano go do władz gromadzkich. Potem odsunął się czy też jego odsunęto. Dokonano nowego chrztu, odrzucając starą od wieków żywą polską nazwę i przyjęto imię o pozytywnym brzmieniu — Chlebowo. „W Polsce nie brak chleba” — mowywali swoją decyzję nieważni poprawiacze.

Brewerski — bo tak się nazywa — zajął się tylko gospodarką. Z trzech ha ziemi ornej, trudnej ziemi, bo z melioracją źle się tu dotąd działo, osiąga zbiory, które pozwa

lają mu prowadzić sporą hodowlę. Siedem sztuk bydła rogatego, para koni, jedenaście owiec, trzoda chlewna.

Po Październiku, dzielna aktywistka, która pozwała kiedys fotografom z wielkim bochnem chleba na piersi i grzmiała wyzywająco: „Gdzie nie ma chleba?” — zrujnowała swoje gospodarstwo i jak niepyszna uciekła na Kujawy. Brewerski został. Siedzi na go spodarce, pracuje w Radzie Narodowej, która zamierza zgłosić roszczenia do starej nazwy Niemaszchleba.

Tacy ludzie, jak Brewerski nie boją się starych nazw.



Dla przeciętnego mieszkańca Polski Wybrzeże — to miejsce gdzie można przyjemnie spędzić urlop pod warunkiem, że trafi się na dobrą pogodę.

My przejeżdżaliśmy nadmorskie miejscowości w okresie — gdy jesień wypędziła już wczesną zimą. W Międzyzdrojach, czy w Trzęsaczu — gdzie w okresie letnim tłoczno jest od przybyszów — było pusto i szaro. Nadmorskie miejscowości pokazywały twarz taką, jaką mają na codzień, przez dzie więć miesięcy w roku.

Jeśli mowa o morzu to nie sposób pominąć rybaków. Myślimy nie o tych, którzy na dużych kutrach wyjeżdżają na dalekie połowy, ale o rybakach przybrzeżnych. Nie efektowna łódź, często zamiast silnika — wiosła, piaski plaży jako przystań — ot i całe wyposażenie takiego człowieka morza. Tymczasem właśnie od tego ilu tych niepozornych, do swych kolegów znad jezior czy rzek podobnych rybaków będziemy mieli na Wybrzeżu, w największym stopniu zależy globalna wysokość i wartość połowów. Najsłabsze gatunki ryb trzymają się bowiem tuż przy lądzie.

Obecnie, w oparciu o specjalną uchwałę rządu, zdąża się do tego, żeby rozsiłane wzdłuż całego wybrzeża osady rybackie, (które w wielu wypadkach zamieszkują po prostu rolnicy) odzyskały swój dawny charakter. Każda nowa łódź wycho-

naście lat pobytu nad morzem oswoił się z nieznanym dla siebie żywiołem, — garna się do atrakcyjnego obecnie zawodu. Zawodu, który wymaga jednak nie lada hartu fizycznego i codziennego męstwa.

Skończyliśmy o wrażeniach z polskiego Wybrzeża trzeba choć parę słów poświęcić Erykowi Zedwiczowi. Od 35 lat ten dziś przeszło 70-letni mieszkaniec Międzyzdrojów maluje wyłącznie morze. Nie ma już ono dla artysty żadnych tajemnic. Zedwicz mógłby malować swe obrazy z pamięci. Mimo to codziennie biega stary człowiek nad brzeg morza. Spodziewa się, że to właśnie dzisiaj Bałtyk odstąpi przed nim w przelotnym refleksie światła na falach, czy w nagłym załamaniu się wysokiego grzywacza — jakiś nowy, nieprzeczuwalny szczegół...

Setki obrazów wywędrowały z pracowni artysty w świat. Kilka płócien zakupiły znane europejskie muzea. „Mewy” można podziwiać w wiedeńskim „Belvedere”. W Liverpoolu znajduje się „Przypływ morza”. Jedyną w żadnym z polskich muzeów nie spotkacie obrazów tego najwierniejszego naszego Bałtykowi malarza.

Trzeba zajrzeć do jego pracowni. Przyjmie was człowiek

o rozbijającej prostocie i wielkim uroku osobistym. Człowiek władający biegle kilkoma językami, który w okresie swej młodości studiował u wielu najwybitniejszych sław malarstwa. Równie chętnie pokazuje swe dzieła smakoszom artystycznym, jak też i przygodnym wycieczkowiczom. Księga pamiątkowa w pracowni Zedwicza pełna jest entuzjastycznych uwag o sztuce artysty i o nim samym.

Raz tylko odbiegł malarz od zwyczaju gościnnego witania wszystkich, którzy trafiają do jego domu. Było to wówczas, gdy w Międzyzdrojach zjawił się osobisty wysłannik Hitlera z propozycją by Zedwicz namalował portret brunatnego wodza. I tylko fakt, że hitlerowcy musieli się liczyć z popularnością Zedwicza w sferach kulturalnych szeregu europejskich krajów, uchronił artystę przed represjami.

Stary rybak z Nowego Warpna. Nazywa się Roman Jankiewicz. Nie złowił ryb — nie pamięta. Tyle lat...



Wśród ludzi morza znana jest zasada: tyle jest warta załoga okrętu, ile najgorszy z jej marynarzy.

Specyficzna sytuacja, jedynie w swoim rodzaju warunki pracy usprawiedliwiają tę surową ocenę.

Przenieść ją w dziedzinę życia społecznego i ekonomicznego można po odpowiedniej trawestacji. Np. nigdzie chyba niedomagania gospodarki krajowej lub niepokój w sytuacji międzynarodowej nie są tak uważnie odnotowywane i nie przynoszą tak trudnych do zatarcia i naprawienia szkód — jak właśnie na tych terenach.

Mając za sobą doświadczenie 3.500 km., możemy pokusić się o kilka uwag natury ogólnej. A więc przede wszystkim: nie ma pustego pogranicza, nie ma rzadko zaludnionego terenu po którym kiedyś tylko żółnierze służby pogranicza poruszali się bez przeszkód. Obszar ten nie wyróżnia się niczym szczególnym, poza charakterystycznymi dla każdej granicy akcesoriami: wieżami strażnic, wąskimi zaoranymsiem ziemi tuż przy samej granicy spotykanyymi od czasu do czasu sylwetkami żołnie-

rzy z zielonymi otokami na czapkach. Można mieć uzasadnioną nadzieję, że z życia pogranicza bezpowrotnie wyeliminowana została atmosfera podejrzliwości, która kazała niegdys w każdym napotkanym tu człowieku widzieć potencjalnego przestępcę granicznego.

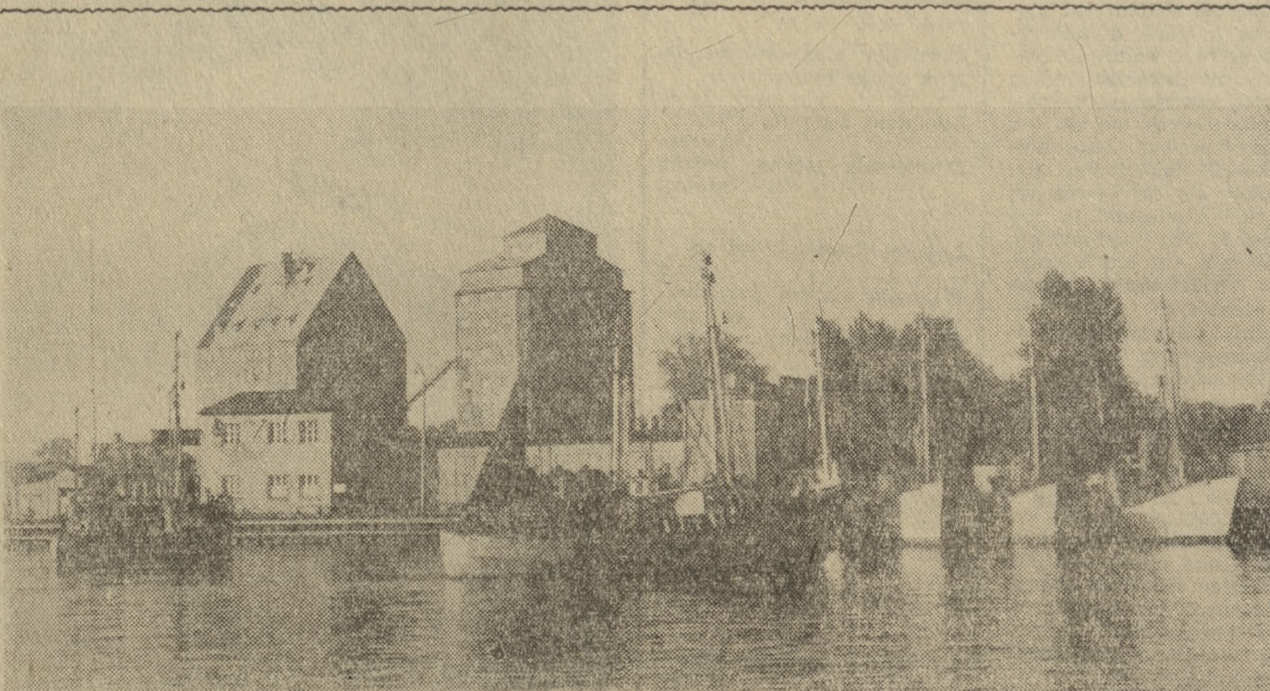
Kiedy mowa o procesie stabilizacji trudno nie doceniać tego elementu w znacznym przeciwieństwie do wpływu tego na psychikę ludzi. Z tym elementem czysto emocjonalnym, współdziałają inne — przede wszystkim ekonomiczne.

Ośrodki przemysłowe (i nie tylko przemysłowe) naszego pogranicza rozwinęły się przed rokiem 1945 i okrzepły. Powstały poza tym nowe. Oprócz nazw znanych od dawna, jak Szczecin — nabierają znaczenia nowe, które do niedawna niewiele znaczyły na mapie: np. Bogatynia, leżąca w słynnym „Worku Żytańskim”, zasobnym w węgiel brunatny. Ich rosnące znaczenie zaczyna przekraczać już wymiary lokalne; toteż proces stabilizacji, który dotychczas postępował od centrum ku granicy — obecnie będzie się rozwijał również w kierunku odwrotnym. Dla Ziemi Zachodnich ma to kapitalne znacze-

nie, i to nie tylko czysto ekonomiczne.

Charakterystycznym jest, że o ile do 1946/47 stan ludności w miastach przygranicznych wykazywał tendencję spadkową, to w okresie późniejszym zaczął systematycznie zwiększać się. Na terenach rolniczych objawiało się to ostateczną likwidacją odlogów i na pół wyłudnionych wsi. Wielu gospodarzy, którzy kiedyś pod byle jakim pretekstem opuścili gospodarstwa, wróciło. Jeśli idzie o ruch ludności miejskiej, to klasycznym przykładem migracji wewnętrznej (bo odbywającej się w granicach Ziemi Zachodnich), może być Gubin, do którego na wieść o projektowanym rozwoju miasta przybyło tu ok. 1000 rodzin z Lidz barka Warmińskiego.

Niepokój budzić może tylko znaczna przestrzeń, dzieląca pograniczne ośrodki przemysłowe. Organizowanie ludzi, mobilizowanie ich wokół konkretnych zamierzeń, wiązanie z tymi zamierzeniami ich przyszłości i nadziei (jak np. Kostrzyn — Fabryka Celulozy, Gubin — przemysł włókienniczy, sadownictwo, Świnoujście



Na Pomorzu Zachodnim. Port rybacki w Kołobrzegu.

- granica 3.500 kilometrów

— kombinat uzdrowiskowy) — ciągle jeszcze potrzebują wielkiej energii.

Doświadczenie, jakiego nabyliśmy w czasie podróży nad granicą, mówi nam jak straszliwym w skutkach na tamtych terenach niedopatrzaniem bywa nieuregulowanie do końca spraw własnościowych wsi. Z całą ostrością kwestia ta daje znać o sobie szczególnie w powiatach rolniczych, a których wiadomo, że praca na roli będzie głównym źródłem utrzymania podstawowej części ludności. Zrozumiałą jest więc niepokój ludzi mała intensywność pracy i niechęć do inwestowania, jeśli do kawałka ziemi zgłaszają pretensje trzej gospodarze: ten który ma akt nadania, ten który czuje się właścicielem ziemi i ten który ją uprawia.

Są więc sprawy, które czekają. Sprawy które powinny być załatwione. Co nie znaczy, że nie wolno nam być już dzisiaj rozważnymi optymistami. Upoważnia do tego żyjące co raz pełniej pogranicze, na którym rozstrzygnięto (lub można zbliżono się do rozstrzygnięcia) wielu skomplikowanych, trudnych problemów: począwszy od stosunku ludzi do ich nowych miejsc pobytu, do wzajemnego ustosunkowania się do siebie — ludności po granicą i żołnierzy pogranicza. Już sama ta kwestia jest pełnym novum w dziejach polskiego pogranicza. Sojusz



Dziewczęta z regionalnego o-polskiego zespołu tanecznego ZMW z Państwowego Gospo-darstwa Rolnego — Zakrzów (powiat Krapkowie).

WOP-u z ludnością cywilną. W wyniku którego ludzie ci mogą wzajemnie na siebie liczyć — jest jednym ze znamien-nych procesów przemian, jak-że — szczególnie od dwóch lat ostatnich — widoczne są na naszych zachodnich kre-sach.

miennogórnym w woj. wroc-ławskim. Sekretarz Prezydium MRN, Stefan Nowaczyk, przed osiedleniem się w Lubawce mieszkał w pow. tureckim. Przybył tu po skończeniu służ- by wojskowej, tu też założył rodzinę. Widać, że bardzo jest zaangażowany w sprawy mie- szkańcowskie miasta. A w Lu- bawce głośno mieszkają Niemcy.

Ostatnim spotkaniem w na- szej podróży poznaniakiem był prezes Sądu Powiatowego w Gołdapi (woj. białostockie) absolwent UAM p. Stefan Ku- kuła, pochodzący ze Skalmie- rzyc. I tu nie obyło się bez wspomnień.

Od wszystkich byłych pozna- niaków — zgodnie z ich życze- niem — ślemy serdeczne po- zdrowienia!



W tak długiej podróży trafiła się niejedna ciekawa przygoda, niejedna zabawna sytuacja.

Na zakończenie — podajemy jedną z nich.

W Raciborzu złożyliśmy wizytę prokuratorowi powiatowemu. Cho- dziło nam o garść informacji na temat kilku dawniejszych afer przemysłowych. W trakcie roz- mowy jeden z nas zapytał pro- kuratora, czy mógłby nam ewen- tualnie wskazać jakąś osobę związaną z tymi aferami („Pan rozumie prokuratorze, reportaż o przygraniczu bez postaci starego przemysłowika, który kiedyś pro- wadził przez „zieloną granicę” całe karawany z towarami?”). Pro- kurator namyślał się długo i wreszcie mówi: „Moglibyście się panowie skontaktować z X w miejscowości Y. On przesiedział nawet parę lat w więzieniu. Nie- jedno mógłby wam opowiedzieć, oczywiście, jeśli będzie chciał”.

Ułożyliśmy tak trasę, że jeszcze w tym samym dniu byliśmy w Y. Jadąc tam, zastanawialiśmy się w jaki sposób zdobyć jego zaufanie. Po przyjeździe do wioski złożyliśmy wizytę kierownikowi miejscowej szkoły. W czasie rozmowy, pytamy w pewnym mo- mencie: „a w którym domu miesz- ka tutaj były stary przemysłowik X?” Kierownik przez chwilę spogląda na nas milcząc, wresz- cie mówi: „tu w tej miejscowości nazwisko X. tylko ja posiadam. Skąd panowie...”

No cóż — pamięć zawodzi. Były przemysłowik rzeczywiście nazy- wał się X, tylko że mieszkał nie w Y, lecz w miejscowości Z...

HENRYK JANTOS
JERZY KULTUNIAK
ZDZISŁAW ROMANOWSKI

Ilustracje:
L. KAPCZYŃSKI
S. MROWIŃSKI
Fot.: autorzy i CAF

POZNAŃSKIE spotkania

W fał ludzi, którzy tuż po zakończeniu działań wo- jennych wyruszyli na Ziemię Zachodnią, nie zabra- kło poznaniaków. Wielu ludzi wyruszało szczególnie do Szcze- cyna i serdeczne kontakty z tym miastem zaczynają obec- nie przeżywać renesans, dzie- ki współpracy zadziergniętej przez organizację TRZZ z obydwu ośrodków.

Ale niezależnie od tych większych skupisk byłych pozna- niaków (piszemy „byłych” bo- wiem dziś nie mówią prze- ciw o sobie inaczej, jak: „my szczecinianie” czy „my ko- szaliniacy”), na mieszkańców naszego miasta czy wojewódz- twa natknąć się można prawie w każdym zakątku Ziemi Za- chodnich. Nierzadko też napo- tykaliśmy w naszej podróży na

liczne dowody sympatii dla mieszkańców poznańskiego gro- du i wielkopolskiej ziemi.

Ot — chociażby kierownik szkoły w Zabelkowie w powie- cie raciborskim w woj. opol- skim, Paweł Giełsk, rodowity opolanin: gdy tylko przedsta- wiliśmy się mu — począł wy- liczać, kto z jego rodziny i przy- jaciół był związany z Pozna- niem czy przez studia czy też pracę.

Napiszcie panowie, niech na Opolszczyznę przyjedzie jak najwięcej nauczycieli z Po- znańskiego! — dodał na koniec.

Podobnie na temat Poznania rozgawędziła się starsza pani w recepcji w hotelu w Świno- uściu, gdy jej podaliśmy nasze dowody osobiste.

— Kiedy w Kamiennej Górze (w woj. wrocławskim) ludzie, którzy tu przybyli w roku 1945, wspominali tamte czasy — nie omieszkają dodać, że wśród pionierów, stwarza- jących załóżki życia ekonomicz- nego miasta, byli poznaniacy. Niejeden sklepik on tu uru- chomił, i niejeden warsztat rzemieślniczy.

Warsztaty zakładali pozna- niacy nie tylko w Kamiennej Górze. Jeszcze dziś w Gryfi- nie (miasteczko powiatowe w woj. szczecińskim nad samą Odrą) wisi nad jedną z pie- karni szyld „Piekarnia poznań- ska”. Ten sam sentyment ka- zał ustawić na jednej z szos w woj. zielonogórskim, tuż w pasie przygranicznym, przed Ślubicami — drogowskaz z napisem „Kalisz”. Drogowska- zu do bliższych miejscowości — szukaj wiatru w polu. Ale do Kalisza był. I to z dokład- nym wyliczeniem kilometrów!

Przyjemne były też bezpośre- dnie spotkania z byłymi mies- zkańcami Poznańskiego. I wte- dy często nie było rady: mu- sieliśmy przedstawić naszą wi- zytę, opowiadać co słychać w mieście i województwie...

Nie sposób tych wszystkich spotkań opisywać. Wspomni- my przeto dwa: pierwsze i ostatnie.

Lubawka — to pięćdziesiąt- nie miasteczko o dość silnie roz- winiętym przemysle tkackim, leżące tuż nad samą granicą polsko-czeską w powiecie ka-

MECHANICZNY TŁUMACZ

Czy wiecie, w jaki sposób ma- szyny tłumaczą z jednego języka na drugi?

Oto kilka szczegółów takiej ma- szyny, zbudowanej według kon- strukcji akademika ZSRR — Le- biediewa, która to maszyna tłumaczy z angielskiego na rosyj- ski.

Operuje ona liczbami — każda litera tekstu musi być zaszyfrowa- ną odpowiednią liczbą. Do tek- stu pisanego literami łacińskimi służy szyfr „Bodo”, w którym każda litera oznaczona jest za po- mocą dwóch cyfr. Podobny szyfr oznacza literę cyrylicy. Odpowiadające sobie wyrazy słownika angielskiego i rosyjskie- go są oznaczone tymi samymi li- czbami. Obok oznaczeń samych wy- razów istnieje układ z wskazania- mi gramatycznymi, zawierający 39 oznaczeń dwucyfrowych.

Poszukiwanie wyrazu rosyjskie- go odpowiadającego angielskiemu, polega na porównaniu prze- odcinając odpowiednich ozna- czeń. Jeśli słownik zawiera 10 000 wyrazów, to wystarczy 14 porów- nań, aby znaleźć właściwy odpow- iednik. W części maszynowej ope- rującej tekstem angielskim prze- prowadzana jest analiza tekstu łącznie z analizą kontekstu.

(J. H.)

Pierwsza próba przekłucia Ziemi

Jak wiadomo, najgłębsze z dotychczasowych wier- ceń w poszukiwaniu bo- gactw naturalnych prowadzi się w ZSRR i USA. Radzieccy technicy nie ujawniają swoich osiągnięć, lecz według różnych doniesień mają z sobą prak- tyczne przemysłowe wiercenia rzędu 5–6 km w głąb ziemi. Amerykanie natomiast osią- gnęli podobno głębokość 6 km, na której — pod wpływem temperatury i ciśnienia — ro- pa przemienia się w gaz ziem- ny i w tej formie tryska na powierzchnię. W każdym razie warto zauważyć, że mimo wszystko jest to głębokość nie- znaczna w stosunku do grubo- ści twardej skorupy otaczają- cej Ziemi. Według obliczeń naukowców bowiem skorupa ta posiada grubość od 30–50 km.

BLIŻNA PO KSIĘŻYC?

Istnieją przypuszczenia, że twarda skorupa Ziemi naj- cięńsza jest w rejonie Pacyfi- ku, skąd kiedyś, przed mili- ardami lat wyrwała się ponoć ogromna bryła i ulatując w przestrzeń kosmiczną — utwo- rzyła nasz pościwy Księżyc. Stąd projekt przewiercenia skorupy naszej planety wła- śnie w rejonie wysp Fidżi.

Technicznie jest to problem bar- dziej niż trudny. Projekt prze- widuje bowiem rozpoczęcie wier- ceń na dnie oceanu — 5.000 m pod jego powierzchnią! Całe „naklu- cie” sięgać ma 10 kilometrów. Dla uzmystowienia sobie trudności trzeba przypomnieć o ciśnieniu, sięgającym tam w dziesiątki ty- siący atmosfer, które będzie mu- siało wytrzymać całe urządzenie i pokonać diamentowe wiertło. Do tego dochodzi wysoka tempera- tura tych głębokości...

ZAINTERESOWANIA NAUKOWCÓW

„Nakłucie” Ziemi — o ile się uda — powinno przynieść — oprócz niespodzianek — odpo- wiedzi na pytania pasjonujące od dawna naukowców. Spotka się więc niewątpliwie nowe formy układów geologicznych, zupełnie innych od znanych nam obecnie, jako utworzo- nych pod olbrzymim ciśnie- niem. Poza tym właśnie w re- jonie wysp Fidżi znajduje się, na stosunkowo niedużej głębo- kości, niewytłumaczona do- tychczas naukowo bariera fal trzęsień ziemi, która w innych rejonach znajduje się o wiele

głębiej. Zbadanie tej właści- wości może dać odpowiedź ne- gatywną lub pozytywną dla wielu teorii budowy wnętrza Ziemi.

SKĄD SIĘ BIERZE LAWY?

Istnieje także możliwość, że naukowcy dowiedzą się lawy wulkanicznej — co zresztą nie jest określeniem precyzyjnym. W tej chwili większość teorii odrzuca przekonanie, że nie- zwykłe gorące płynne skały, tryskające z kraterów wulkan- ów — pochodzą z wnętrza Ziemi. Przypuszcza się raczej, że lawa wulkaniczna pochodzi z lokalnych „basenów”, z któ- rych wskutek gigantycznego ciśnienia i ruchu górotwórcze- go wydostaje się w żarzącej się formie na powierzchnię. Istnieje przypuszczenie, że w okolicach zaplanowanego wier- cenia w głąb skorupy Ziemi możliwe jest dotarcie do ta- kiego właśnie lokalnego siedli- ska.

Bardzo ciekawe mogą być rów- nież wyniki badań budowy ska- łowego podłoża oceanu. Wiercenie prawdopodobnie dostarczy dowo- dów lub kontr-dowodów na to, że — z grubsza biorąc — obecny po-

dział na oceany i wielkie płyty kontynentów dokonał się już przed dwoma czy trzema mili- ardami lat.

Być może, w czasie wiercenia znajdzie się także ślady najwcześ- niejszego życia na Ziemi w formie nienaruszonej.

Człowiek dwudziestego wieku spyta oczywiście, ile to będzie ko- ształo. Jak się jednak okazuje, przedsięwzięcie, w porównaniu np. z kosztami lotów w przestrzeń kosmiczną i badań jądrowych dla celów wojennych, nie jest zbyt kosztowne. Próba ta nie powinna pochłonąć więcej niż kilkadzie- siąt (25–60 milionów dolarów. Oczywiście — trudno przewidy- wać wszystkie przeciwności, które się napotka po drodze.

W każdym razie życzymy nau- kowcom powodzenia. Sami byli- my ciekawi, jak jest zbudowane wnętrze Ziemi. Czy ciepłota wne- trza Ziemi pochodzi z procesów promieniotwórczych czy też jest gigantycznym „termosem” styg- nącym od miliardów lat? Na osta- teczna odpowiedź będziemy mu- sieli jednak poczekać kilka lat. (J)



Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie przy- stąpiła do produkcji lekkiej (o 100 kg lżejszej od „War- szawy”) ciężarówki o nośności 1 tony, budowanej na podwoziu „Warszawy”. W przyszłym roku zakłady przewidują wypuszczenie 1000 sztuk „Żuków”, zaś w 1960 roku — 2500 do 3000. CAF — fot. Tymfiński

Wśród księzek

Skłamałbym, gdybym po- wiedział, że do lektury tej niewielkiej rozmiarami powie- ści o Ewarystie Estkowskim*) zabrałem się z entuzjazmem. Miałem sporo uprzedzeń, wy- nikających po prostu z pew- nego doświadczenia zebrane- go w dotychczasowej praktyce czytelnika. Powieści biogra- ficzne pisane o kimś, po 100 latach z górą, na podstawie pamiętników, dokumentów czy wspomnień osób trzecich, kryją w sobie zawsze poten- cjalne niebezpieczeństwo zbyt wiernego trzymania się „do- wodów rzeczowych”, co znacz- nie osłabia ich literacką stro- nę. Ewaryst Estkowski, zasłu- żony pedagog i szermierz walki o polskość szkoły na te- renach b. zaboru pruskiego, choć żył zaledwie 36 lat, jako nauczyciel i działacz pracował bez mała lat 17. Jak tu na 175 stronicach książki zamknąć i oblec w artystyczny kształt dzieje tego niezmordowanego człowieka! Jednak w miarę czytania ogromna większość zastrzeżeń znikła bez śladu.

Autor wybrał — i chyba słusz- nie — jako temat swej książki ty- lko pierwszy rok działalności pe- dagogicznej, zamykający się w

wielkopolskiej wsi, w Wojciecho- wie pod Jaraczem. Pokazał żywo i ciekawie Estkowskiego w roli — młodego, 19-letniego nauczyciela w wiejskiej szkółce, jego walkę z cpo- rem zaoferowanych rodziców przed posyłaniem do szkoły swych dzieci i, stokroć trudniejszą — z niechęcią i wręcz wrogością władz administracyjnych i szkolnych wobec postępowych poczyną Est- kowskiego. Co prawda w roku 1839 nauka języka polskiego była jeszcze przez władze pruskie to- lerowana, ale już zaczął się rysować — uwidocznił się — proces germanizacji. Władcom nie podobano się też, iż ów nauczyciel wiejski wprowadza do metod na- uczania nowe prądy, nie uznaje ka- ry chłosty i traktuje — on, syn, szlacholca! — dzieci chłopskie — jak swych młodszych przyjaciół. Mało tego — z chłopstwem się bra- ta! Mógł Estkowski zostać guwer- norem magnackich dzieci, a jed- nak wolął chłopskie dzieci wy- brać...

Franciszek Kirlo-Nowaczyk u- strzegł się przeładowania swej po- wieści działalnością pedagogiczną i społeczną bohatera, uniknął pom- nikowego białego. Historia romansu z Elżbietą Zwierzycką, w który wplata się niespokojny duch znu- dzonej powodzią i nieco de- monicznej magnatki — Justyny Stabiewskiej, wreszcie początki przyjaźni z „dbającym o postęp” jej bratem — wszystko to wyko- rzystał autor do pokazania Estkow- skiego — jako człowieka niegają- cego — jak każdy z nas — ludz- kim namiętnościom i słabościom. Język (choć miejscami dla współ- czesnego Czytelnika, może trochę

naïwny) i klimat powieści — traf- nie oddają klimat romansu pierw- szej połowy dziewiętnastego wie- ku. Całość jest nader interesującą lekturą.

Autorowi należy się również wdzięczność za podjęcie tematu, który wśród literatów leżał dotąd odłożonym. Obraz walki człowieka i jego bezskuteczne starania u władz o pokrycie dachu jedno- izbowej szkółki siostrą, dziś, w do- bie realizacji hasła „1000 szkół na Tysiąclecie” — budzić musi szcze- gólne refleksje.

Marian FLEJSIEROWICZ

KSIAŻKI NADESLANE:

Stefan Baliński — Dziewiąta fala (powieść). Wydawnictwo Morskie. Str. 135, cena 10 zł.

Franciszek Fenikowski — Rękopis z gospody pod Łosiem (po- wieść historyczna). Wydawnictwo Morskie. Str. 332, cena 22 zł.

Stanisław Hełsztyński — Pluton Kosynierów (powieść historyczna). Wydawnictwo Poznańskie. Str. 467, cena 22 zł.

Eugeniusz Morski — Słońce na talerzu (poezja). Wyd. Poznańskie, Str. 162, cena 14 zł.

Józef Narzyński — Trzy miesią- ce. Wydawnictwo Poznańskie (po- czątek cyklu Nowela polska). Str. 107, cena 12 zł.

Zofia Ostrowska-Kiełbowska — Pałac Działynskich w Poznaniu (monografia). Wyd. Poznańskie, Str. 140, ilustracji 70, cena 25 zł.

Bolesław Wiewióra — Granica na Odrze i Nysie Łużyckiej w po- lityce Zachodu. Wyd. Poznańskie, Str. 120, cena 15 zł. (ch)

SIEDEMNAŚCIE TRUDNYCH LAT



Szczyty Tatr bieleją już śniegiem...

CAF — fot. Olszewski

WYNIKI KONKURSU filatelistycznego

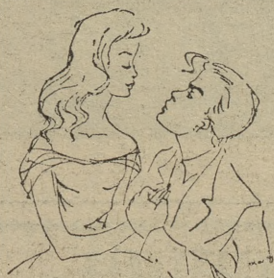
W ub. niedzielę, na Jubileuszowej Wystawie Filatelistycznej, nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu filatelistycznego, zorganizowanego przez Oddział Poznański Polskiego Związku Filatelistów i Redakcję „Nowego Świata”.

Komisja konkursowa przystąpiła do pracy przy udziale licznie zgromadzonej publiczności. W losowaniu nagród wzięły udział rozwiązania, które zawierały trafne odpowiedzi na pytania konkursowe, które brzmią:

Na pytanie 1 — Prosper Prowano, 2 — Warszawa, 3 i 4 Wrocław, 5 — 1860, 6 — 6, 7 — 1925 i 8 — Polski Związek Filatelistyczny.

W wyniku losowania nagrody otrzymują: Bronisław Krzyżaniak, Gostyń — bloczek Roosevelta; Helena Gościński, Leszno — bloczek ONZ (komplet); Alicja Dziedzic, Trzcianka — album luksusowy do znaczków PRL; Juliusz Mikołajczak, Olsztyn — album do znaczków ZSRR (2 tomy); Andrzej Mrowiński (Gostyń) i Stanisław Chwaliński Poznań — zestaw znaczków PRL; Mirosław Garsteczek, Feliks Maklerowicz i Wojciech Gawęcki (Poznań) oraz Andrzej Boguszyński (Leszno) i Bogusław Szmania (Nowy Tomys) — album do znaczków PRL; Jutta Wdowik (Poznań), Michał Hoffmann (Poznań) i Krzysztof Scheffs (Kępno) — katalog PRL.

Uczestnikom zamiejscowym nagrody doręczone zostaną w najbliższych dniach.



— Każdego ranka jest pani moją pierwszą myślą...
— Pański kolega Karol mówi mi to samo.
— Tak, ale ja wstaję o godzinę wcześniej!
(Z najnowszego nr. „Kaktusa”).



MAJKÓW — dawniej wieś, dziś przedmieście Kalisza. Przytoczę wyjątki ze spisu dokonanego 30 listopada 1695 r. przez Morstinów po śmierci Macieja Waliszewskiego:

„W Frąckowej chatupie kmieć, który zmarł, bardzo zły i zgnieł, kumornice mieszkają, ta z gruntu zgnieła i poprawy nie godna. Matyas chałupnik ma chałupę bardzo złą i zgniełą... Karczma to jest chałupa z kumora i sienią nie złą, chlewiki są, obórki i stołółki nie masz. Bydła pańskiego nie ma nic. Ten karczmarz Stanisław Wolski ani naczyń pańskiego żadnego nie ma, piwo i gorzałkę szynkuje...”

MARZENIN — w powiecie wrzesińskim nazwę swoją wywodzi od Marzanny. W XIV wieku należał do kapituły gnieźnieńskiej. Stąd pochodzi profesor Uniwers-



„Biała Chmura” czuje się w swojej nowej ojczyźnie doskonale, żyjąc wśród czerwono — czarnoskórych przyjaciół. Niemniej myśli o przyjeździe do starego kraju.

sytetu Jagiellońskiego i zrazem kanonik, ks. Stanisław z Marzenina (XVI w.). MARCHWACZ — (pow. kaliski) w XVI i XVII w. dobra kościelne. Na początku XIX w. mieszkali tu Niemowscy, postępową szlachta w gub. kaliskiej; wiele oni krwi napsuli Mikołajowi I, a w narodzie polskim zasłużyli na długą i dobrą pamięć.

MICHOZEWO (pow. Nowy Tomys) — w roku 1399 było Mechorzewem Mo-

Takie oto osobliwe dla nas rzeźby-wizerunki tworzy indiański Polak, zdobywając uznanie wielkich dzienników amerykańskich.

„BIAŁA CHMURA” z Rzeszowskiego rodem

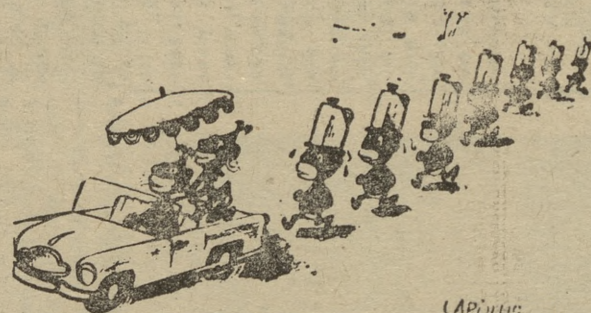
Dokąd to jeszcze nie zdążyli zawędrować nasi rodacy? Ostatnio (jak podaje „Panorama”) „odkryto” autentycznego Polaka, piastującego wysoką godność... wodza indiańskiego szczepu Ottawa z Michigan. Pan Stanisław Smolak vel „Biała Chmura”, bo takie miano nadali mu jego indiańscy przyjaciele — przybył — jak informuje „Panorama” — do Ameryki w 1914 roku, uciekając przed rekrutacją do austriackiego wojska.

Równie ciekawym jest drugi „zawód” pana Smolaka. Jest on utalentowanym artystą ludowym, tworzącym drewniane rzeźby, wypalane kolorowo sposobem indiańskim. Zbudowana przez niego i ozdobiona oberża „Legs Inn” — stanowi obiekt zainteresowania tysięcy turystów.



Co może pragnienie...

Pan Clyde Wise z Harford napil się własnoręcznie przyrządzonego coctailu na który złożyły się: butelka piwa, flakonik rtęci, butelczka jodyny, 50 pigulek aspiryny, płyn do wywabiania plam oraz krople walerianowe. Nie wiadomo czy ów szatański napój ugasiłby pragnienie pana Clyde'a, ponieważ bezpośrednio po wypiciu — pogotowie przewiozło go do szpitala.



— Trocę wolniej królu, bo stacje benzynowe nie nadążą.

WALKI BYKÓW bez PRZELEWU KRWI (zwierząt)

Niedawno wszyscy dyrektorzy dużych firm kanadyjskich otrzymali zaproszenie na walki byków do małej miejsciny, położonej uroczo nad jeziorami Cawartha. Nadawcą zaproszeń była izba handlowa miłasta Lindsay, która na same znaczki zaproszeń wydała 1200 dolarów kanadyjskich.

Walki byków rzeczywiście się odbyły, lecz w formie dosyć osobliwej. Importowano zwierzęta z Meksyku razem z dwoma specjalistami od areny, Gilberto Azconą i Jorge Bernalem. Ponieważ jednak związek ochrony zwierząt ostro protestował przeciw przelewowi byczej krwi, zabroniono im ostatecznego ciosu szpadą w serce byka. Tak więc, jak piszą sprawozdawcy, nieszczęśliwi toreadorzy byli wystawieni na niebezpieczeństwo swego zawodu, nie mogąc ostatecznie unieszkodliwić czworonożnych przeciwników.

W wyniku tych walk bohaterzy areny zakończyli popisy okaleczeni. Jednemu z nich rozjuszony byczek zgniótł stopę. Była to jedyna strata. Impreza w Lindsay udała się bowiem i o miasteczku było w Kanadzie bardzo głośno. Sprytni kupcy zamierzają imprezę powtórzyć.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

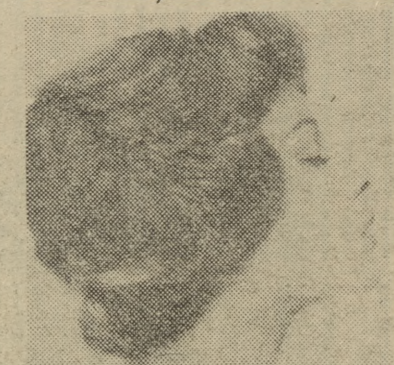
Za nadesłanie poprawnych odpowiedzi nagrody — przyznane drogą losowania — otrzymują z Poznania: Dobrochna Witkowska — ul. Matejki 3/19, Antoni Bryliński, ul. Lipowa 1 m. 2, Zygfryd Sobański, ul. Szamarzewskiego 60/60 i Michał Smigieński, ul. Grunwaldzka 17/4 oraz Maria Włocławicz z Kościana i Marian Orsztynowicz z Rogoźna.



— Siusiu...



SWOBODNE, LECZ STARANNE



Naszym Czytelniczkom prezentujemy modele najnowszych fryzur, proponowane przez paryskich



mistrzów. Na zdjęciach od góry: fryzura w stylu klasycznym, czoło przykryte lokami, rozdzielony-



mi niesymetrycznie. Dalej: kok z modną obecnie przepaską. I wreszcie — model, który ponoć najbardziej harmonizuje z obecną modą; uczesanie swobodne, lecz jednocześnie bardzo staranne (konieczna „trwała”).



Fernandela widzieliśmy już w X rolach. Oto rola „X+1” — Indianina w nowym filmie pt. „Le Grand Chef”.